

*Romeo i Giuletta,
klątwa, która przetrwała stulecia,
i rodzinna tajemnica
sięgająca czasów Szekspira*

ANNE FORTIER
+ JULIA

Świat Książki

Tytuł oryginału
JULIET

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja
Hanna Smolińska

Redakcja techniczna
Agnieszka Gąsior

Korekta
Maciej Korbasiński
Dorota Wojciechowska

Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żyjących
czy zmarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © 2010 by Anne Fortier
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Maciejka Mazan, 2010

Świat Książki
Warszawa 2010

Świat Książki Sp. z o.o.,
ul. Rosoła 10
02-786 Warszawa

Skład i łamanie
MAGiK

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-2053-8
Nr 45027

Spis treści

Prolog

Rozdział I.I

Rozdział I.II

Rozdział I.III

Rozdział II.I

Rozdział II.II

Rozdział II.III

Rozdział III.I

Rozdział III.II

Rozdział III.III

Rozdział III.IV

Rozdział IV.I

Rozdział IV.II

Rozdział IV.III

Rozdział IV.IV

Rozdział IV.V

Rozdział V.I

Rozdział V.II

Rozdział V.III

Rozdział V.IV

Rozdział V.V

Rozdział VI.I

Rozdział VI.II

Rozdział VII.I

Rozdział VII.II

Rozdział VIII.I

Rozdział VIII.II

Rozdział VIII.III

Rozdział IX.I

Rozdział IX.II

Rozdział IX.III

Rozdział X

Od Autorki

EPIGRAF

*Ponurą zgodę ranek ten skojarzył;
Słońce się z żalu w chmur zasłonę tuli;
Smutniejszej bowiem los jeszcze nie zdarzył
Jak ta historia Romea i Julii*.*

SZEKSPIR

* William Szekspir, *Romeo i Julia* (przypisy tłumaczkii).

Przekłady Stanisława Barańczaka:

Rozdziały: I.III; II.I; II.II; II.III; III.I; III.III; III.IV; IV.I; IV.III; IV.IV; IV.V; V.I; V.IV; VII.I; VII.II; VIII.I; IX.I; X.

Przekłady Józefa Paszkowskiego:

Rozdziały: I.I; I.II; III.II; IV.II; V.II; V.III; V.V; VI.I; VI.II; VIII.II; VIII.III; IX.II; IX.III.

Prolog

Powiedzieli, że umarłam.

Me serce stanęło i przestałam oddychać – w oczach świata byłam prawdziwie martwa. Niektórzy twierdzą, że odeszłam na trzy minuty, inni – że na cztery. Osobiście zaczynam podejrzewać, że śmierć to w dużej mierze kwestia umowna.

Będąc Julią, zapewne powinnam nie mieć złudzeń, ale tak bardzo chciałam uwierzyć, że tym razem nie powtórzy się znowu ta sama żalosna tragedia... Wreszcie połączymy się na zawsze, Romeo i ja, a nasza miłość nigdy więcej nie znajdzie się w zawieszeniu na całe mroczne stulecia wygnania i śmierci.

Ale nie oszukasz Barda. Zatem zmarłam, jak było mi przeznaczone, gdy skończyły się moje kwestie. Znowu wpadłam w otchłań stworzenia.

O, szczęsne pióro. Oto jest kartka.

Oto zaś atrament, a zatem zacznijmy.

*Na miłość boską, czyjaż to krew broczy
Kamienne wnijscie do tego grobowca?*

Nie od razu zdecydowałam, skąd zacząć. Można by zauważyć, że moja historia zaczęła się ponad sześćset lat temu od rabunku na gościńcu w średniowiecznej Toskanii. Albo, nieco później, od tańca i pocałunku w Castello Salimbeni, gdzie moi rodzice spotkali się po raz pierwszy. Ale nigdy bym się o tym nie dowiedziała, gdyby pewne wydarzenie nie zmieniło gwałtownie mego życia i nie zmusiło mnie do podróży do Włoch w poszukiwaniu przeszłości. Tym wydarzeniem była śmierć mojej ciotecznej babci Rose.

Umberto szukał mnie trzy dni, by mi przekazać tę smutną wiadomość. Biorąc pod uwagę moją wirtuozerię w sztuce znikania, zadziwia mnie, że w ogóle mu się udało. Ale Umberto zawsze miał nadprzyrodzoną umiejętność czytania mi w myślach i uprzedzania moich ruchów, poza tym w Wirginii nie ma aż tyle szekspirowskich letnich obozów.

Nie wiem, jak długo stał, przyglądając się przedstawieniu. Ja byłam jak zawsze za kulisami, zbyt zajęta dziećmi, ich kwestiami i rekwizytami, by dostrzegać cokolwiek, dopóki nie opadła kurtyna. Po kostiumowej próbie popołudniowej ktoś zgubił fiolkę z trucizną, w związku z czym Romeo był zmuszony do popełnienia samobójstwa za pomocą tic taców.

– Ale ja mam od nich zgagę! – zaprotestował z całą urażoną dumą czter-nastolatka.

– I bardzo dobrze! – rzuciłam, powstrzymując matczyne odruch, nakazujący poprawić mu aksamitny kapelusz. – To pomoże ci się utrzymać w roli.

Dopiero gdy światła się zapaliły, a dzieci wyciągnęły mnie na scenę, żeby obsypać wyrazami wdzięczności, dostrzegłam koło drzwi znajomą sylwetkę. Umberto, surowy i posągowy, w ciemnym garniturze i krawacie, wyróżniał się niczym samotny przyczółek cywilizacji w prehistorycznym bagnie. Jak zawsze. Odkąd pamiętam, nigdy nie włożył nic, co by można nazwać strojem nieformalnym. Szorty khaki i koszulki polo uważał za odzież tych, którzy nie mogą się pochwalić żadną cnotą, nawet poczuciem wstydu.

Później, gdy fala wdzięcznych rodziców cofnęła się i wreszcie mogłam zejść ze sceny, zatrzymał mnie na chwilę dyrektor, który potrząsnął mną serdecznie – znał mnie zbyt długo, żeby pozwalać sobie na uściski.

– Dobra robota, Julie! – zawołał wylewnie. – Mogę na ciebie liczyć w przyszłe wakacje?

– Oczywiście – skłamałam, ruszając przed siebie. – Będę w okolicy.

W końcu podeszłam do Umberta, na próżno szukając iskierki, jakie pojawiały się w jego oczach na mój widok po dłuższej rozłące. Ale nie było w nich uśmiechu, nawet śladu, i zrozumiałam, dlaczego się zjawił. Bez słowa weszłam w jego objęcia, żałując, że nie potrafię odwrócić świata do góry nogami jak klepsydrę i że życie nie jest zjawiskiem skończonym, lecz raczej nieustającym przechodzeniem przez mały otwór w czasie.

– Nie płacz, *principessa* – powiedział w moje włosy. – To by się jej nie spodobało. Nie możemy żyć wiecznie. Miała osiemdziesiąt dwa lata.

– Wiem. Ale... – Cofnęłam się i otarłam oczy. – Janice przy niej była?

Umberto zmrużył oczy, jak zawsze na myśl o mojej bliźniaczce.

– Jak sądzisz?

Dopiero z bliska dostrzegłam, jaki jest znękanym i wymizierowanym – jakby przez parę nocy pił do poduszki. Ale może to naturalne? Kim miał się stać bez cioci Rose? Odkąd pamiętam, oboje byli złączeni w przymusowym związku pieniędzy i siły – ona odgrywała starzejącą się ślicznotkę, on – cierpliwego majordomusa, i pomimo wszystkich dzielących ich różnic żadne z nich nie próbowało ułożyć sobie życia bez drugiego.

– Coś takiego – rzuciła słodkim, lodowatym głosem. – Ta czysta dusza jeszcze żyje.

Dopiero teraz zauważyłam wlokącą się za nią męską atrakcję tygodnia.

– Przykro mi, że cię rozczarowałam – warknęłam i upuściłam plecak na podłogę. Upadł z głuchym stukotem. – Mam ci pomóc odzierać dom z kosztowności czy chodzisz na włamy sama?

Śmiech Janice brzmiał jak melodyjny brzęk wietrznych dzwoneczków, takich, co to je sąsiedzi wieszają na swoim ganku wyłącznie po to, żeby doprowadzać cię do szału.

– To Archie – powiadomiła mnie rzeczowo. – Da nam za te rupiecie dwadzieścia patyków.

Spojrzałam na nich z obrzydzeniem.

– Jakież on hojny. Najwyraźniej lubuje się w śmieciach.

Janice rzuciła mi złe spojrzenie, ale szybko się opanowała. Doskonale wiedziała, że jej sympatię mam gdzieś, a jej gniew mnie tylko bawi.

Urodziłam się cztery minuty przed nią i choćby wyskoczyła ze skóry, zawsze pozostanę cztery minuty starsza. Nawet jeśli Janice miała się za superszybkiego zająca, a mnie za ospałego żółtwa, obie wiedziałyśmy, że może biegać wokół mnie, ile chce, a nigdy nie pokona tego malutkiego odstępku między nami.

– No tak – odezwał się Archie, zezując na otwarte drzwi. – To ja się zbieram. Miło cię poznać, Julie. Julie, prawda? Janice wiele mi o tobie opowiadała... – Roześmiał się nerwowo. – Działaj dalej! Czynj pokój, nie miłość, jak powiadają.

Janice pomachała mu słodko, lecz ledwie drzwi się za nim zamknęły, jej twarz z anielskiej zmieniła się w demoniczną, jak halloweenowy hologram.

– Nie waż się tak na mnie patrzeć! – syknęła. – Staram się skombinować pieniądze. Ty w końcu nie zarabiasz, co?

– Ale i nie mam twoich... wydatków – mruknęłam, wskazując jej piersi, ewidentnie podrasowane. – Powiedz, Janice, którzy ci wepchnęli te balony? Przez pępek?

– Powiedz, Julie – przedrzeźniła mnie – jak się czujesz taka zupełnie płaska? Od zawsze?

– Panie wybaczą – odezwał się Umberto, stając z uszanowaniem między nami, tak jak to robił tyle razy wcześniej. – Czy mogę zaproponować, by przenieść tę porywającą wymianę zdań do biblioteki?

Gdy dogoniliśmy Janice, już zdążyła się ułożyć w ulubionym fotelu cioci Rose. Postawiła szklankę dzinu z tonikiem na poduszce w motywy łowieckie, które wyhaftowałam krzyżykami w liceum, gdy ona zajmowała się poważniejszymi łowami.

– Co? – warknęła, spoglądając na nas z kiepsko skrywaną niechęcią. – Nie sądzisz, że połowę wody zostawiła mnie?

Klasyczne zagranie Janice: klócić się nad czymis̄ zwłokami. Odwróciłam się i podeszłam do balkonowych drzwi. Ukochane terakotowe donice cioci Rose stały na tarasie niczym rząd żałobników. Kwiaty pochyliły główki jak w nieutulonym żalu. Niezwykły widok. Umberto zawsze otaczał ogród troskliwą opieką – lecz może nie znajdował już przyjemności w tej pracy, odkąd zabrakło jego pracodawczyni i najlepszej słuchaczki.

– Dziwne – powiedziała Janice – że nadal tu jesteś, Ptasiu. Na twoim miejscu już bym była w Vegas. Z rodowymi srebrami.

Umberto nie odpowiedział. Już wiele lat temu przestał się odzywać do Janice. Spojrzał na mnie.

– Pogrzeb jest jutro.

– Nie do wiary – rzuciła Janice, kołysząc przerzuconą przez oparcie nogą. – Zaplanowałeś wszystko, nie pytając nas o zdanie.

– Tego sobie życzyła.

– Powinniśmy wiedzieć coś jeszcze? – Janice dźwignęła się z fotela i poprawiła sukienkę. – Czy wszyscy coś dostaniemy? Nie zakochała się w jakimś schronisku dla zwierząt czy czymś podobnym?

– A obchodzi cię to? – warknęłam i przez jakieś pół sekundy Janice wyglądała, jakby zrobiło się jej naprawdę wstyd. Potem wzruszyła ramionami, jak zawsze, i znowu sięgnęła po butelkę.

Nawet nie chciało mi się komentować, kiedy uniosła idealnie wypielegnowane brwi, okrutnie się dziwiąc, że nalało się tak dużo. Gdy słońce osunie się za horyzont, Janice także osunie się na szezlong, zostawiając odpowiedź na wielkie życiowe pytania innym – jeśli nie zabraknie jej procentów.

Od zawsze taka była: nienasycona. Gdy byłyśmy dziećmi, ciocia Rose śmiała się z zachwytem i wołała: „Ta mała mogłaby zjeść konia z kopytami, zwłaszcza piernikowego!”, jakby żarłoczność Janice była czymś godnym pozazdroszczenia. No ale ona znajdowała się na szczycie łańcucha pokarmowego i w przeciwieństwie do mnie nie miała się czego bać. Odkąd pamiętam, Janice potrafiła wywęszyć moje zapasy cukierków, choćbym je schowała nie wiadomo jak dobrze, a wielkanocne poranki w naszej rodzinie kończyły się szybko, brutalnie i żałośnie dla mnie. Zawsze tym, że Umberto karcił ją za zagarnięcie moich czekoladowych jajek, a Janice, oblewając czekoladę łzami, syczała spod łóżka, że nie jest jej tatą i nie będzie jej rozkazywał.

Najbardziej frustrujące było to, że jej wygląd w ogóle nie zdradzał wszystkich tych wybryków. Skóra, gładka jak lukier na weselnym torcie, nadal strzegła jej brzydkich tajemnic. Rysy pozostały tak delikatne jak delikatne są małe marcepanowe kwiaty i owoce w rękach mistrza cukiernictwa. Dżin, kawa, wstyd ani skrucha nie przebijały się przez tę gładką fasadę; całkiem jakby biło w niej wieczne źródło życia i jakby Janice codziennie wylaniała się odrodzona z otchłani wieczności, ani o dzień starsza, ani o deko cięższa i nadal drapieżnie złąkniona świata.

Niestety, nie byłyśmy identycznymi bliźniaczkami. Niegdyś na szkolnym boisku podsłuchałam, jak ktoś mówi o mnie „Bambi na szczudłach”, i choć Umberto śmiał się i powiedział, że to komplement, jakoś nie miałam takiego wrażenia. Nawet gdy etap największej niezdarności przeminął, w porównaniu z Janice dalej wyglądałam chudo i anemicznie. Zawsze i wszędzie ona była mroczna i wylewna, a ja blada i wycofana.

Gdy razem wchodziłyśmy do pokoju, wszystkie oczy natychmiast zwracały się na nią, choć stałam tuż obok. Z czasem przywykłam do mojej roli. Nigdy nie musiałam się trudzić kończeniem kwestii, bo Janice nieodmiennie wpadała mi w słowo. Jeśli ktoś przypadkiem spytał mnie o marzenia i nadzieje – przeważnie podczas towarzyskiej herbatki z sąsiadkami cioci Rose – Janice ciągnęła mnie do fortepianu, gdzie usiłowała grać, a ja miałam odwracać strony nut. Nawet teraz, w wieku dwudziestu pięciu lat, podczas rozmów z obcymi nadal utykałam w pół słowa, czeka-

jąc w rozpacz, aż ktoś mi przerwie, zanim będę musiała wypowiedzieć zdanie złożone.

Podczas pogrzebu cioci Rose lało, a cmentarz wyglądał niemal tak ponuro, jak się czułam. Stałam nad grobem, wielkie krople deszczu skapywały mi z włosów, mieszając się ze łzami na policzkach. Papierowe chusteczki, które przyniosłam z domu, już dawno rozmiękły w kieszeniach na papkę.

Choć płakałam całą noc, nie byłam gotowa na to uczucie smutnej ostateczności, które mnie ogarnęło, gdy trumna legła krzywo na ziemi. Taka duża trumna dla chudziutkiej cioci Rose... Nagle pożałowałam, że nie chciałam zobaczyć jej zwłok, nawet jeśli jej to nie robiło różnicy. A jeśli? Może patrzyła na nas z daleka, pragnąc nam powiedzieć, że dotarła na miejsce bezpiecznie. Była to pocieszająca myśl, mile widziana chwila wytchnienia od rzeczywistości. Szkoda, że nie potrafiłam w nią uwierzyć.

Jedyną osobą, która pod koniec pogrzebu nie wyglądała jak zmokły gryzoń, była Janice, która włożyła plastikowe buty na dziesięciocentymetrowych obcasach i czarny kapelusz, kojarzący się ze wszystkim oprócz żałoby. Ja natomiast włożyłam strój, który Umberto nazwał kiedyś czarną rozpaczą. O ile buciki i dekolt Janice mówiły „podejdz bliżej”, o tyle moje buciory i zapięta pod szyję sukienka z całą pewnością warczały „won”.

Nad trumną stanęła garsteczka osób, ale tylko pan Gallagher, nasz prawnik, zatrzymał się, żeby porozmawiać. Janice i ja dotąd go nie spotkałyśmy, lecz ciocia Rose mówiła o nim tak często i ciepło, że facet mógłby nas zaskoczyć już tylko in minus.

– Rozumiem, że jest pani pacyfistką? – zwrócił się do mnie, gdy razem wychodziliśmy z cmentarza.

– Julcia uwielbia walczyć – odpowiedziała Janice, krocząca z zadowoleniem między nami i kompletnie nieświadoma, że woda ścieka na nas z ronda jej kapelusza. – I rzucić czym popadnie. Słyszał pan, co zrobiła Małej Syrence...?

– Dość – syknęłam, usiłując znaleźć suchy kawałek rękawa, by otrzeć oczy po raz ostatni.

– Nie bądź taka skromna! Pisali o tobie na pierwszej stronie!

– Jak słyszę, pani firma dobrze sobie radzi? – Pan Gallagher spojrział z ostrożnym uśmiechem na Janice. – Uszczęśliwianie ludzi musi być wyzwaniem?

– Uszczęśliwianie? Błę! – Janice zgrabnie wyminęła kałużę. – Szczęście jest największym zagrożeniem dla mojej firmy. Nam chodzi o marzenia. Frustracje. Fantazje, które nigdy się nie urzeczywistnią. Mężczyzn, którzy nie istnieją. Kobiety, których się nigdy nie zdobędzie. W tym są pieniądze!

Janice gadała i gadała, a ja przestałam słuchać. Niebywała ironia – moja siostra, najmniej romantyczna osoba na świecie, zajmowała się zawodowo kojarzeniem małżeństw. Mężczyzn – z którymi nieodmiennie usiłowała flirtować – uważała jedynie za gadające narzędzia elektryczne, które można włączyć, gdy się ich potrzebuje, i wyłączyć natychmiast, gdy spełnią swoje zadanie.

Dziwne, ale w dzieciństwie Janice miała obsesję układania wszystkiego parami – dwa misie, dwie poduszki, dwie szczoteczki... nawet kiedy się kłóciliśmy, sadzała nasze lalki obok siebie na półce, czasami nawet tak, że trzymały się w ramionach. Być może to jednak nie dziwne, że wybrała karierę swatki, bo dobierała pary lepiej od Noego. Ale, w przeciwieństwie do niego, już dawno zapomniała, po co to robi.

Trudno ustalić, kiedy wszystko się zmieniło. Jakoś tak w liceum obrała sobie za cel zniszczenie wszystkich moich marzeń o miłości. Swoich chłopców zmieniała jak tanie rajstopy, z upodobaniem obrzydając mi sprawę opisywaniem wszystkiego w tak pogardliwy sposób, że zaczęłam się zastanawiać, po co kobiety w ogóle zadają się z mężczyznami.

– No – powiedziała w noc przed naszym balem maturalnym, zakręcając mi włosy na różowe wałki. – To twoja ostatnia szansa.

Spojrzałam na nią w lustrze, zaskoczona. Na szczęście nie mogłam odpowiedzieć, bo na twarzy zastygła mi miętowozielona błotna breja.

– No wiesz. – Skrzywiła się niecierpliwie. – Ostatnia szansa, żeby się pozbyć wianuszka. Po to wymyślono bal maturalny. Bo dlaczego chłopaki się tak stroją? Żeby sobie potańczyć? Litości! – Zerknęła na moje odbicie,

sprawdzając, jak jej idzie. – Jeśli nie zrobisz tego na balu, to wiesz, co powiedzą. Że jesteś cnotką. Nikt nie lubi cnotek.

Następnego ranka zaczęłam jęczeć, że boli mnie brzuch, a im bardziej zbliżał się bal, tym bardziej mi dokuczał. W końcu ciocia Rose musiała zadzwonić do sąsiadów i powiedzieć, żeby ich syn znalazł sobie szybko inną dziewczynę na wieczór. Tymczasem Janice poszła na zabawę ze sportowcem Troyem, który uwiózł ją z piskiem opon.

Ciocia Rose, która słuchała moich jęków przez całe popołudnie, zaczęła nalegać, żebym pojechała na pogotowie, bo a nuż jest to wyrostek, ale Umberto ją uspokoił i powiedział, że nie miałam gorączki, a zatem to nic poważnego. Wieczorem stanął przy moim łóżku. Wyjrzałam spod koca i zorientowałam się, że Umberto doskonale wie, co się dzieje, i w pewien dziwny sposób jest zadowolony z mojego oszustwa. Oboje wiedzieliśmy, że synowi sąsiadów niczego nie brakuje, tylko po prostu nie pasował do opisu mężczyzny, którego sobie wymarzyłam. A skoro nie mogłam dostać tego, czego chciałam, wołałam nie pójść na bal.

– Dick – powiedziała Janice, obdarzając pana Gallaghera uroczym uśmiechem – może byśmy już przeszli do rzeczy. Ile?

Nawet nie próbowałam interweniować. Im szybciej Janice dostanie pieniądze, tym szybciej się ulotni i nie będę musiała jej oglądać.

– Hm – mruknął pan Gallagher, stając z zażenowaniem obok lincolna z Umbertem w środku. – Obawiam się, że fortuna jest niemal całkowicie zamrożona w posiadłości.

– Daj spokój. – Janice się nie zraziła. – Wszyscy wiemy, że podzielimy się równiutko po połowie, co do grosza, więc wyluzuj. Chciała, żebyśmy przepiłowały dom na pół? Świetnie, tak zrobimy. Albo... – Wzruszyła ramionami, jakby było jej wszystko jedno. – Po prostu go sprzedamy i dzielimy się pieniędzmi. Ile?

– Chodzi o to, że ostatecznie... – Pan Gallagher spojrział na mnie z pewnym żalem. – Pani Jacobs postanowiła zostawić wszystko pannie Janice.

– Co? – Powiodłam wzrokiem od mojej siostry do pana Gallaghery i Umberta, ale u nikogo nie znalazłam zrozumienia.

– Jasna cholera! – Janice błysnęła szerokim uśmiechem. – Staruszka miała jednak poczucie humoru!

– Oczywiście – ciągnął pan Gallagher, unosząc brwi – jest pewna sumka dla pana... dla Umberta i wzmianka, że starsza pani pragnęła podarować pannie Julie pewne fotografie.

– A co tam – powiedziała Janice. – Mam ochotę być hojna!

– Zaraz... – Cofnęłam się o krok, usiłując przyswoić to, co usłyszałam. – Przecież to bez sensu.

Odkąd pamiętam, ciocia Rose wychodziła ze skóry, by traktować nas jednakowo. Rany boskie, raz zastałam ją nawet przy liczeniu orzechów w naszych płatkach śniadaniowych, żeby żadna z nas nie czuła się pokrzywdzona. I zawsze mówiła, że kiedyś odziedziczymy po niej dom. „Dziewczynki – mawiała – musicie się nauczyć ze sobą dogadywać. Wiecie, nie będę żyła wiecznie. A kiedy odejdę, zostawię wam ten dom i ogród”.

– Rozumiem pani rozczarowanie... – zaczął pan Gallagher.

– Rozczarowanie? – Miałam ochotę chwycić go za krawat, ale wbiłam ręce głęboko w kieszenie. – Nie wierzę. Chcę zobaczyć testament. – Spojrzałam mu prosto w oczy, aż zaczął się pocić. – Tu się dzieje coś podejrzanego...

– Nigdy nie umiałaś przegrywać – zauważyła Janice, z kocim uśmiechem rozkoszująca się moją furią. – I w tym problem.

– Proszę... – Pan Gallagher otworzył drżącymi rękami walizkę i podał mi dokument. – To pani kopia. Obawiam się, że nie pozostawia miejsca na wątpliwości.

Umberto znalazł mnie w ogrodzie, przycupniętą w altance, którą kiedyś dla nas zbudował, gdy ciocia Rose chorowała na zapalenie płuc. Przysiadł obok mnie na mokrej ławce. Nie wspomniał o mojej dziecinnej ucieczce z cmentarza. Podał mi nieskazitelnie wyprasowaną chusteczkę i patrzył, jak wydmuchuję nos.

– Nie chodzi o pieniądze – powiedziałam markotnie. – Widziałeś, jak się uśmiechała? Słyszałeś, co mówiła? Nie obchodzi ją ciocia Rose. Nigdy jej nie obchodziła. To niesprawiedliwe!

– Kto ci powiedział, że życie jest sprawiedliwe? – Umberto uniósł brwi. – Na pewno nie ja.

– Wiem! Tylko nie rozumiem... ale to moja wina. Zawsze myślałam, że ona naprawdę traktuje nas jednakowo. Pożyczyłam pieniądze... – Zasłoniłam oczy, żeby nie widzieć jego miny. – Tylko nic nie mów!

– Jesteś w opałach?

Pokręciłam głową.

– Straszliwych.

– Dobrze. – Rozpiął marynarkę i wyjął z niej suchą, lecz nieco zmiętą kopertę. – Bo chciała, żebym ci dał to. To wielka tajemnica. Gallagher o niczym nie wie. Ani Janice. Jest tylko dla ciebie.

Natychmiast nabrałam podejrzeń. To bardzo nie w stylu cioci Rose – dać mi coś za plecami Janice. Ale pominięcie mnie w testamencie też nie było w jej stylu. Najwyraźniej nie znałam ciotki mojej matki tak dobrze, jak mi się zdawało. Samej siebie, okazuje się, też dobrze nie znałam. Pomyśleć tylko, że tu siedziałam – akurat tego dnia – i płakałam z powodu pieniędzy. Ciocia Rose, choć miała pod sześćdziesiątkę, gdy nas adoptowała, była nam jak matka i powinnam się wstydzić, że chciałam od niej czegoś jeszcze.

W koperce – gdy ją wreszcie otworzyłam – znalazłam trzy rzeczy: list, paszport i klucz.

– To mój paszport! – zawołałam. – Jak go...? – Znowu spojrzałam na stronę ze zdjęciem. Moja fotografia, moja data urodzenia, ale nie moje imię i nazwisko. – Giuletta? Giuletta Tolomei?

– To twoje prawdziwe nazwisko. Janice też. Ciocia zmieniła je wam, gdy was tu przywiozła z Włoch.

Zabrakło mi słów.

– Ale dlaczego?... Od kiedy wiesz?

Spuścił wzrok.

– Może przeczytasz list?

Rozłożyłam dwa arkusiki.

– Twój charakter pisma?

– Dyktowała mi. – Uśmiechnął się ze smutkiem. – Chciała, żebyś mogła to rozczytać.

W liście przeczytałam, co następuje:

Najdroższa Julie,

Poprosiłam Umberta, żeby dał ci ten list po moim pogrzebie, więc pewnie to znaczy, że nie żyję. Nieważne. Wiem, że nadal się gniewasz, iż nie zabrałam was do Włoch, lecz wierz mi, to dla waszego dobra. Czy mogłabym sobie wybaczyć, gdyby coś wam się stało? Ale jesteś starsza. A twoja matka zostawiła ci coś w Sienie. Tylko tobie. Nie wiem dlaczego, ale taka już była Diane, świeć Panie nad jej duszą. Zdaje się, że jest to warte o wiele więcej niż cokolwiek, co posiadam. Dlatego postanowiłam oddać dom Janice. Miałam nadzieję, że zdołamy zapomnieć o Włoszech, ale teraz sądzę, że źle postąpiłam, nie mówiąc wam o niczym.

Oto co musisz zrobić. Weź ten klucz i jedź do banku w Palazzo Tolomei w Sienie. Sądzę, że otwiera on skrytkę depozytową. Twoja matka miała go w torebce w dniu, w którym umarła. Miała tam doradcę finansowego, niejakiego Francesca Maconiego. Znajdź go i powiedz, że jesteś córką Diane Tolomei. A, i jeszcze jedno. Zmieniłam wam nazwiska. Naprawdę nazywałeś się Giulietta Tolomei, ale tu jest Ameryka. Uznałam, że Julie Jacobs ma więcej sensu, choć i tego nikt nie potrafi napisać poprawnie. Do czego zmierza ten świat? Miałam dobre życie. Dziękuję wam za to. A, i jeszcze jedno: Umberto załatwi ci paszport z twoim prawdziwym nazwiskiem. Nie mam pojęcia, jak to się robi, więc zostawiam to jemu.

Nie będę się żegnać. Zobaczymy się w niebie, jeśli Bóg pozwoli. Ale chciałam dopilnować, żebyś dostała to, co ci się słusznie należy. Tylko uważaj, gdy się tam już znajdziesz! Popatrz, co spotkało twoją matkę. Włochy to bardzo dziwny kraj. Oczywiście urodziła się tam twoja prababka, ale mówię ci, nie dałaby się tam zaciągnąć za żadne skarby świata. No, to nie powtarzaj nikomu, co ci powiedziałam. I uśmiechaj się częściej, dobrze? Masz taki śliczny uśmiech – jeśli go pokazujesz.

Bardzo cię kocham i niech cię Bóg błogosławi

Ciocia

Nie od razu doszłam do siebie. Czytając list, czułam się niemal, jakbym słyszała głos cioci Rose, równie cudownie roztargnionej po śmierci jak za życia. Gdy skończyłam z chusteczką, Umberto jakoś nie chciał jej z powrotem. Natomiast powiedział, że mogę ją zabrać do Włoch, żeby pamiętać o nim, gdy już znajdę ten wielki skarb.

– Daj spokój! – Wytarłam nos po raz ostatni. – Oboje wiemy, że nie ma żadnego skarbu!

Umberto uniósł klucz.

– Nie jesteś ciekawa? Ciocia jest przekonana, że twoja matka znalazła coś o niezwykłej wartości.

– To dlaczego nie powiedziała mi o tym wcześniej? Dlaczego czekała, aż... – Chwyciłam się za głowę. – To bez sensu!

Umberto zmrużył oczy.

– Chciała, ale nigdy cię tu nie było.

Potałam twarz, głównie po to, by uniknąć jego oskarżycielskiego spojrzenia.

– Nawet jeśli miała rację, przecież nie mogę wrócić do Włoch. Zapudłują mnie już na lotnisku. Wiesz, że mi powiedzieli...

Szczerze mówiąc, włoscy policjanci powiedzieli mi o wiele więcej, niż wyznałam Umbertowi, ale tak czy inaczej wiedział, że aresztowano mnie w Rzymie podczas demonstracji antywojennej i że spędziłam mało atrakcyjną noc w miejscowym więzieniu. O świcie wyrzucono mnie z kraju i zapowiedziano, żebym nie wracała. Wiedział też, że to nie była moja wina. Miałam osiemnaście lat i chciałam tylko pojechać do Włoch i zobaczyć, gdzie się urodziłam.

Wpatrując się tęsknie w szkolną tablicę ogłoszeń z kolorowymi reklamami wycieczek studenckich i drogich kursów językowych we Florencji, zauważyłam mały plakat potępiający wojnę w Iraku i wszystkie kraje, które brały w niej udział. Przekonałam się z biciem serca, że jednym z tych krajów są Włochy. Na dole strony widniała lista dat i miejsc; każdy zainteresowany był mile widziany. Tydzień w Rzymie – włącznie z podróżą – miał mnie kosztować nie więcej niż czterysta dolarów, czyli dokładnie tyle, ile mi zostało na koncie. Nie wiedziałam, że tę niską cenę zawdzięczaliśmy

bardzo małej szansie, że zostaniemy we Włoszech przez cały tydzień – oraz pewności, że koszty naszego lotu powrotnego i zakwaterowania ostatniej nocy uiszczą – jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem – włoskie władze, czyli włoscy podatnicy.

I tak, niewiele rozumiejąc z celu tej wycieczki, parę razy wracałam do tablicy, zanim wreszcie się podpisałam. Ale tej nocy, rzucając się bezsennie na łóżku, zrozumiałam, że popełniłam błąd i że muszę się z tego wycofać jak najszybciej. Powiedziałam o tym Janice, a ona przewróciła oczami.

– Tutaj leży Julcia, co życia nie użyła, ale raz prawie dotarła do Włoch. Wyglądało na to, że muszę pojechać.

Gdy pierwsze kamienie pofrunęły w stronę włoskiego parlamentu – rzucili je moi towarzysze podróży Sam i Greg – niczego bardziej nie pragnęłam, niż znaleźć się w swoim łóżku, a najlepiej pod łóżkiem. Ale tkwiłam uwięziona w tłumie, jak wszyscy, i gdy rzymska policja w końcu znudziła się kamieniami i koktajlami Mołotowa, przeszliśmy chrzest gazem łzawiącym.

Po raz pierwszy w życiu pomyślałam: Zaraz umrę. Upadłam na asfalt i ujrzałam świat – ręce, nogi, wymioty – przez mgiełkę bólu i niedowierzania. Zupełnie zapomniałam, kim jestem i dokąd zmierzam. Jak dawni męczennicy, odkryłam nowe miejsce, niebędące życiem ani śmiercią. Ale potem wrócił ból i panika i po chwili przestało mi to wyglądać na religijne doświadczenie.

Wiele miesięcy później nadal nie wiedziałam, czy w pełni doszłam do siebie po rzymskiej przygodzie. Gdy zmuszałam się, by o tym pomyśleć, natchodziło mnie przykre wrażenie, że umyka mi coś ważnego – coś, co zgubiłam w Rzymie i czego już nie odzyskałam.

– To prawda. – Umberto otworzył paszport i przyjrzał się mojemu zdjęciu. – Powiedzieli, że Julie Jacobs nie może wrócić do Włoch. Ale Giulietta Tolomei...

Omam nie przetarłam oczu. Ten sam Umberto, który nadal miał do mnie pretensję, że ubieram się jak hipiska, nakłania mnie do złamania prawa!

– Mówisz, że...

– Dlaczego sądzisz, że mam z tym coś wspólnego? Ostatnim życzeniem twojej ciotki było, żebyś pojechała do Włoch. Nie łam mi serca, *principessa*.

Na widok jego powagi znowu zachciało mi się płakać.

– A co z tobą? – wychrypiałam. – Może pojedziesz ze mną? Moglibyśmy razem znaleźć skarb. A jeśli nie, do diabła z nim! Zostaniemy piratami. Będziemy przemierzać morza...

Umberto bardzo delikatnie dotknął mojego policzka, jakby wiedział, że kiedy wyjadę, już nie wrócę. A gdybyśmy się jeszcze kiedyś spotkali, to nie tak jak teraz, siedząc w dziecinnej altance, ukryci przed światem.

– Księżniczka musi zrobić pewne rzeczy sama – rzekł cicho. – Pamiętaj, co ci powiedziałem – że pewnego dnia znajdziesz swoje królestwo?

– To tylko bajka. W życiu tak nie bywa.

– Wszystko, co mówimy, to bajka. Ale nigdy „tylko bajka”.

Objęłam go, bo nie chciałam go puścić.

– Co z tobą? Chyba tu nie zostaniesz?

Umberto spojrział na krople deszczu, skapujące z altanki.

– Janice ma rację. Pora, by stary Ptasio poszedł na emeryturę. Ukradnę wam srebra i pojedę do Vegas. Przy moim szczęściu wystarczy mi na tydzień. Dlatego zadzwoń, gdy znajdziesz swój skarb.

Oparłam mu głowę na ramieniu.

– Dowiesz się pierwszy.

Intryga jak z Zafonowskiego *Cienia Wiatru*.

Fascynująca historia, której akcja toczy się we współczesności i w średniowieczu, od pierwszej strony przykuwa uwagę czytelnika i zaskakuje niespodziewanym zakończeniem.

Julia Jacobs, młoda Amerykanka, otrzymuje w testamencie klucz do seflu bankowego w Sienie. Nie znajduje tam jednak ani pieniędzy, ani kosztowności, tylko pakiet listów z XV wieku, które naprowadzą ją na trop tajemnicy jej własnej rodziny oraz...

Romea i Giuletty. Gorąca miłość, która wstrząsnęła średniowieczną Sieną, w niespodziewany i dramatyczny sposób wpływa na losy ludzi żyjących współcześnie.

Powieść zostanie wydana w 27 krajach!

Prawa filmowe kupiła wytwórnia Universal, a reżyserii podjął się James Mangold (*Przerwana lekcja muzyki, Kate i Leopold*).

Anne Fortier jest Dunką. Od 2002 roku mieszka w Stanach Zjednoczonych, gdzie wykłada historię idei i pracuje w przemyśle telewizyjnym. *Julia* to jej druga powieść.